

RABINDRANATH TAGORE

KAPŁANKA WISZNU

Rabindranath Tagore

Kapłanka Wisznu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23552546

Kapłanka Wisznu:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Rabindranath Tagore

Kapłanka Wisznu

kapłanka – w wersji ang. *devotee*, tj. gorliwa wyznawczyni, głosicielka. [przypis edytorski]

I

Onego czasu, gdy wstręt do mojej osoby osiągnął u pewnej liczby czytelników swój świetny punkt kulminacyjny... onego czasu, gdy nazwisko moje pojawiało się tak często w dziennikach przybrane w laurowy wieniec klątw i wymyślań przebujnych... onego czasu uczułem potrzebę skrycia się w jakiś cichy zakątek, gdzie mógłbym przestać zawadzać ludziom... ba, nawet własnego zapomnieć istnienia.

Posiadam niewielki domek na wsi pod Kalkutą, o kilka mil od miasta, i tam mogę sobie siedzieć spokojnie jak mysz w dziurze. Mieszkańcy miejscowi nie znają mnie prawie, a w każdym razie nie mają o mnie wyrobionej opinii. Wiedzą, że nie jestem zwyczajnym bezmózgim letnikiem ani łowcą przyjemnostek postronnych, albowiem nie kalam nigdy ciszy nocy wiejskiej hałaśliwością miasta. Nie uważają mnie też za ascetę, bo te drobne fakty z mego życia, jakie pochwyтали, świadczą, że mam zamiłowanie do pewnych wygod. Nie biorą mnie za wędrownika czy badacza, gdyż, mimo że jestem z natury włóczęgą, wałęsam się po polach zupełnie bez celu. Nie są nawet pewni, czym kawaler, czyli też żonaty, gdyż nie widzieli mnie nigdy z dziećmi. Nie mogąc tedy sklasyfikować mnie w żaden sposób, nie mogąc stanowczo przydzielić ani do fauny, ani do flory, zostawili dziwaka w spokoju i dobrze mi z tym.

W ostatnim dopiero czasie dowiedziałem się, że istnieje

we wsi stwora ludzka, która żywo się mną interesuje. Poznajomiliśmy się pewnego parnego lipcowego popołudnia. Od rana padał deszcz i powietrze mokre było jeszcze i ciężkie od mgły, niby powieki po długim płaczu.

Siedziałem rozleniwiony i patrzyłem bezmyślnie na łaciątą krowę pasącą się na przeciwległym brzegu rzeki. Słońce złociło precudnie jej mokrą sierść. Przyszło mi na myśl pytanie, czemu ludzie z tak wielkim nakładem kapitału otwierają fabryki ubrań? Przecież pozbawiają się przez to niezrównanej ozdoby, ukrywając się przed słońcem i jego promieniami.

Zatopiony w tych i innych jeszcze rozważaniach, płynących mi leniwo przez głowę, nie wiedziałem, co się wokoło dzieje, zdziwiłem się tedy bardzo, ujrzawszy przed sobą kobietę w średnim wieku.

Rzuciła się na kolana i dotknęła czołem podłogi. Miała pouczepiane do odzienia małe bukieciki. Odpięła jeden i podała mi w splecionych modlitewnie dłoniach, mówiąc:

– Oto ofiara dla Boga mego!

Potem szybko wstała i wyszła. Słyszając te słowa, uczułem się tak przełęcznionym, że zaledwo pobieżnie ogarnąłem ją spojrzeniem i, gdy wyszła, nie wiedziałem doprawdy, jak wygląda.

Całe zdarzenie było bardzo proste, ale pozostawiło mi jakieś dziwne wrażenie, przepoiło mnie jakimś nowym odczuciem faktów. Spojrzałem znowu na łaciątą krowę. Mlaskając językiem, gryzła soczystą trawę i oganiała się od much. Wydała

mi się teraz czymś głębokim i tajemniczym. Czytelnikom pozwalałam wybuchnąć zdrowym, głupkowskim śmiechem, ale wyznaję, że serce me wezbrało modlitewnym uwielbieniem. Życie i użycie życia stało mi się adoracją Boga. Zerwałem kilka gałęzi z drzewa mangowego, udałem się na przeciwległy brzeg i podałem krowie wonną, przepojoną rosą strawę. Czyniąc to, miałem wrażenie, że składałam ofiarę bogom życia.

W następnym roku (czytelnicy w dalszym ciągu zaszczykali mnie swą pogardą) wróciłem do mego domku. Było jeszcze zimno, jak zawsze pod koniec lutego. Poranne słońce zazierało do mych okien. Byłem mu wdzięczny za dar ciepła. Pisałem właśnie, gdy służący zawiadomił mnie, iż kapłanka Wisznu pragnie ze mną pomówić. Z roztargnieniem powiedziałem: „Niech przyjdzie”, i pisałem dalej.

Przyszła, skłoniła się nisko, dotykając mych stóp, a ja poznałem w niej od razu kobietę widzianą przelotnie w zeszłym roku. Teraz mogłem się jej lepiej przyjrzeć. Przekroczyła już wiek, w którym kobieta może być piękna lub brzydka.

Wysoka, rosta, barczysta, trzymała się nieco pochyło, zapewne skutkiem ciągłych niskich pokłonów. Ale zachowanie jej nie nosiło cechy trwożliwości czy uniżenia. Najbardziej uderzały oczy. Zdało mi się, że mają władzę patrzenia wskroś dali niezmierniej, że zbliżają rzeczy odległe, a obejmują rozproszone szczegóły pobliza.

Gdy weszła i spojrzała, uczułem jakby pchnięcie.

– Cóż to znaczy? – spytała. – Czemuś mnie zawezwał tutaj

przed tron twój, o Boże? Widywałam cię zazwyczaj pośród drzew i to było lepsze. Tam winniśmy się byli spotkać.

Zapewne widziała mnie w ogrodzie, a ja jej nie dostrzegłem. W ostatnich dniach cierpiałem na katar i nie wydalałem się z domu. Składałem hołd zachodzącemu słońcu z tarasu willi. Po krótkim milczeniu powiedziała:

– O, Boże mój, daj mi kilka dobrych słów!

Zaskoczony tym niespodzianym żądaniem odparłem bez namysłu, zupełnie bezwiednie:

– Nie daję słów dobrych ani nie przyjmuję ich. Otwieram tylko oczy i milczę. A wówczas wszystko widzę i słyszę, nawet w zupełnej ciszy. Kiedy na ciebie patrzę, jest tak, jakbym cię słyszał.

Popadła w jakieś dziwne wzburzenie, słuchając słów moich i wykrzyknęła:

– Bóg mówi do mnie, nie tylko usty¹, ale całym ciałem swoim. Powiedziałem:

– Gdy milczę, słyszę całym ciałem. Przybyłem umyślnie z Kalkuty, by usłyszeć ten dźwięk.

– Wiem o tym! – odparła żywo. – Dlatego też przyszedłam do ciebie!

Zaczęła mnie żegnać. Pochyliła się nisko i dotknęła rękami stóp moich. Uczułem, że drgnęła nerwowo, spostrzegłszy, iż mam trzewiki. Sądziła że nogi moje są bose.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyszedłem z pokoju i usiadłem

¹ *usty* – dziś popr. forma N. lm: *ustami*. [przypis edytorski]

na tarasie płaskiego dachu willi. Poprzez linię drzew od południa widziałem całą okolicę, roztocz pól pustych jeszcze i objętych snem. Słońce wynurzało się po stronie wschodniej z zakrzewia trzciny cukrowej, tuż obok, wpół ukryta w kępie drzew rysowała się wieś. Z gąszczu ciemnego drzew onych wystrzelała z nagłą droga, wiła się wśród pól, gdzieś ku wsi sąsiedniej, zatracając się na kraju widnokładu we mgle porannej.

Trudno było określić, czy słońce już wzeszło, czy nie, bowiem ciężki, nieprzejrzysty opar zwisał w koronach drzew. Ujrzałem kapłankę. Szła przez omgle, podobna ciemnemu ruchliwemu punktowi. Domyśliłem się raczej, że to ona. Śpiewała pieśń pochwalną, pobrzękując na cymbałach.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.